Otwarta pętla – Mont Blanc – część 2/2

tekst: M.Mazur (XII 2019)
wyjazd miał miejsce w lipcu 2015
Część 1/2 tutaj:

[Gran Paradiso (4061) – jak miał na imię pies Lucky Luck'a?!]

Część 2/2:

Mont Blanc czy Monte Bianco

Już w drodze z Polski dużo rozmawiamy o tym czego się spodziewamy; jak wygląda trasa, historie o miejscu z „rolling stones" i o tym, jak Dziku z Agą byli na Blancu kiedyś zimą i nie wiedzieli, że w schronie na 4200 prawdopodobnie dokładnie wtedy były tam zwłoki jakiegoś nieszczęśnika, którego odnaleziono po kolejnych kilku dniach. Takie i inne wesołe historie sprawiły, że wręcz nie mogłem się doczekać naszego wejścia. Dziku wspomina, że kiedyś z inna ekipą wchodzili od włoskiej strony i jak bardzo to wejście jest nieprzyjazne, słucham i myślę sobie, żeby tylko nic się nie wydarzyło co będzie kazało nam wchodzić od włoskiej strony.

Dojeżdżamy do Chamonix, w informacji dowiadujemy się, że droga na szczyt jest zamknięta bo luźne kamienie spadają i jest niebezpiecznie, szybka decyzja – jedziemy do Włoch i wchodzimy od tamtej strony (sumienie podpowiada mi znowu „o ja cię…").

http://dzikumaniak.pl/wp-content/uploads/2016/12/montebianco.mp4
Kilka godzin i kilka tuneli później jesteśmy po drugiej stronie gór i rozbijamy obóz na polu kempingowym Courmayeur

jakoś tak na 1500 m n.p.m. Przygotowujemy sprzęt i siebie, Dziku się martwi, Aga mnie opieprza ze mam przykurcze mięśni i mam się rozciągać, Grzechu pomaga mi ogarnąć pęknięte raki i jak je powiązać żeby dały rade. Znowu rozmawiamy o tym co może pójść nie tak, tym razem same przyjemne tematy jak np. to, że niektóre szczeliny maja po 100 metrów, a niektóre maja nie wiadomo ile. Ćwiczymy wykorzystanie prusikow w przypadku gdyby trzeba było samemu się wydostać ze szczeliny. Pierwszy raz dociera do mnie, że tu można umrzeć.





























Startujemy na drugi dzień rano, podjeżdżamy kawałek samochodem, żeby nie człapać bez sensu asfaltem i wchodzimy na szlak. Wygodny i szeroki, wyraźnie oznaczony prowadzący do czoła lodowca Miage. W drodze tutaj nasłuchałem się trochę o tym miejscu i o tym, że nasz wspólny znajomy Tomek swego czasu przeklinał ten lodowiec wszystkimi znanymi ludziom przekleństwami a nawet wymyślił kilka nowych. Zapowiada się ciekawie pomyślałem kiedy zobaczyłem ostre podejście po luźnym boku lodowca. Nie wiem co sobie wyobrażałem ale słysząc „lodowiec" miałem w głowie coś innego. Długa ponad 5km droga po krajobrazie księżycowo-marsowym. Lodowiec jest pod spodem, pod warstwa kamieni niczym sernik pod kruszonką. Słowo „Kamienie" nie oddaje dobrze tego jak wygląda ta droga, bo niektóre kamienie są wielkości buta, niektóre lodówki a jeszcze inne samochodu marki Nysa. Drogi szukamy przez wynajdywanie kopczyków z kamieni, które ktoś przed nami ułożył, Dziku pokazuje nasz cel – schronisko Gonella, które ze względu na blaszaną elewacje nazywamy „żelazkiem". Jest ledwo widoczne z tej odległości i mocno demotywujące bo co jakiś czas zerkam na nie, ale nie widzę żeby się powiększało. Człapiemy prze lodowiec słysząc wodę pod nami i kamienie, które spadają razem z topiącym się pod nimi lodem i naszym po nich łażeniem. Bez większych przygód, choć cholernie łatwo było głupio skręcić kostkę na tym lodowcu, (którego dobre prowadzenie matki zakwestionował przed nami kolega Tomek a ja dołożyłem od siebie co nieco) dochodzimy do ostrego podejścia. Technicznie łatwe, dobrze ubezpieczona trasę cały zespół pokonuje dość sprawnie, ze śpiewem na ustach niemal, za to ja przechodzę piekło, nie da się pozytywnymi myślami wejść na

szczyt, góra weryfikuje wszystko bezlitośnie, za każdy nieprzepracowany dzień przed przyjazdem tutaj przychodzi mi teraz słono zapłacić. Na mnie plecak z żarciem, namiot, lina, inny sprzęt, przede mną jeszcze kawal drogi a w bidonie koniec wody. Słyszę ją jak spływa gdzieś miedzy skałami, ale nie da się do niej dostać.

Lipcowe słońce ostro operuje, jest pomiędzy 12 a 13 godziną, cienia nie ma a przed nami jeszcze spory kawałek. Dochodzimy do schroniska i padam, myślałem że tylko w głowie sobie to mówię, ale jednak powiedziałem to na głos, że w życiu nie byłem tak zmęczony. Jestem na siebie cholernie wkurzony, czuję się słabo i jestem slaby, zaczynam się poważnie obawiać czy dam rade wejść na szczyt. Z pomocą przychodzi pogoda i zmusza nas na zostanie ponad dobę w schronisku. Mieliśmy czas na odpoczynek, w schronisku znalazłem polska książkę o wypadkach w górach, bardzo ciekawa lektura po tym ja już tu się dostałem. Pozytywnie nastrajające tematy jak historia o tym jak grupa ludzi połączona liną dla asekuracji, zaczęła się ześlizgiwać z ostrego zbocza lodowca raniąc się nawzajem rakami na nogach i czekanami. Znaleziono wszystkich martwych, wciąż związanych razem jedna liną. Aga, Grzesiek i ja gramy w karty a Dziku się martwi. Kolejny raz sprawdza sprzęt i liczy ile mamy zapasów jedzenia, sprawdza co godzinę pogodę na metoblue i to się uspokaja to ma minę jak tato łobuza przed wywiadówka. Dla mnie to jest coś bardzo uspokajającego, widzę że jeśli jest ryzyko to on o tym wie i nie powinniśmy być zaskoczeni żadną sytuacją. To daje duży spokój głowy, bo skoro on się martwi to my możemy odpocząć.

Startujemy po dwóch noclegach, jest nieźle, trochę odpoczęliśmy, pogoda zapowiada się dobrze na kolejne dni. Połączeni liną idziemy w szyku – Dziku, Aga, Grzesiek i na końcu ja. Droga, która była wyznaczona na mapie jest jedynie sugestią. Dziku idzie z przodu i wyszukuje możliwej drogi przejścia i szczelin, które można przeskoczyć żeby nie nadrabiać drogi. Trochę frustrujące jest to, że czasami

idziemy 20-30 minut w górę, po to żeby trafić na ślepy zaułek w labiryncie szczelin i wycofywać się w dół. Cel to wysokość około 3600-3700 tam chcemy rozbić namioty i z tego miejsca startować na finalny atak. Lina trzyma nas razem, nie ma miejsca i czasu na opierdzielanie się, zaczynają mięknąć mi nogi. Kilka razy muszę przystanąć zatrzymując całą ekipę. W pewnym momencie klękam na jedno kolano i mówię że musze odsapnąć. Grzesiek proponuje że weźmie namiot, ja nie chce! Czuję, że przegrywam z górą, nie chce całkiem się poddać. Dziku podchodzi bez słowa odpina namiot od mojego plecaka przytracza do swojego, który ma i tak mocno objuczony i startujemy dalej. Nie mam siły protestować, każdy kilogram mniej to zbawienie. Nigdy nie zapytałem go co wtedy miał w głowie, czy było to „cholera jasna z mięczakami" czy może „ok jesteśmy zespołem idziemy razem" ale w tym momencie zobaczyłem, że prawdziwych przyjaciół poznaje się wtedy, gdy wezmą na siebie ciężar, który sam na siebie sprowadziłem, a którego nie dam rady udźwignąć.
Docieramy na około 3700 m, gdzie w okolicach dużego kamienia znajdujemy kawałek wypłaszczenia wystarczającego na rozbicie dwóch namiotów. Alpejskie gęsi wyścigowe w trójkę idą na zwiad, ja proponuje ofiarnie, że zostanę popilnować sprzętu (zadanie o tyle łatwe, że nie spotkaliśmy nikogo na trasie i jesteśmy chyba jedynymi, którzy atakują z tej strony).

Idzie rak i gówno z tego.

Startujemy w nocy, jest ciemno, zimno, mięśnie ciągle bolą, bigos lyo nie ułożył się dobrze, ogólnie „w górach jest wszystko co kocham". Docieramy do ostrej grani, po której okrakiem jak po szczycie stromego dachu powoli krok za krokiem posuwamy się do przodu. Nie jesteśmy spięci liną bo jedna osoba spadając pociągnęłaby za sobą cały zespół. Jest ciemno, ale widzę, że i z lewej i z prawej strony pobłyskujący w czołówce lód znika w ciemnościach. Jest tak stromo że spadając nie ma żadnych szans na zatrzymanie się przy pomocy czekana. Wiele razy myślałem o ryzyku w górach, o tym co robić by nie

wpakować się w kłopoty, ale pierwszy raz miałem myśli w głowie że jeśli popełnię błąd, jeśli się zachwieje, ucieknie mi noga albo stanie się coś nieprzewidzianego to nie tyle będę miał kłopoty co umrę! Szansa na przeżycie upadku była znikoma lub zerowa. Kostki zaczynają mnie boleć od nienaturalnej pozycji, a w głowie ciągła myśl „czy raki wytrzymają”.
Wreszcie koniec! Przeszliśmy przez tą dramatyczną grań i wchodzimy już na 4000 metrów i wielką otwartą przestrzeń. W oddali widać czołówki ekip startujących od francuskiej strony i blaszany schron. Docieramy do niego koło 6 rano wchodzimy na chwile, żeby wciągnąć delikatne śniadanie i odsapnąć. Mój organizm zapragnął zostawić w tym miejscu po sobie coś, co za tysiące lat będzie analizowane przez archeologów. Ekipa nie może czekać bo marznie, wiec ja staram się jak najszybciej dokonać ostatecznego aktu zbeszczeszczania góry pozostawiając za sobą kupę w kibelku przy Vallocie. Kiedy w końcu zapinam wszystkie warstwy i uprząż, widzę że daleko przede mną są malutkie punkciki, to ekipa tak wyrwała do przodu. Biegli cholera czy co?! Staram się ich dogonić, ale we znaki daje się wysokość. Dziku poczekał chwile i do niego udaje mi się dojść, Aga z Grześkiem mocno na przodzie. Powyżej 4500 m każdy krok jest trudny, mówię Dzikowi, że musze odsapnąć, on ze spokojem odpowiada że teraz nie odpoczywam, że tu na stojąco tracę energię i musimy iść. Przechodzę w tryb 50 kroków. Spuszczam głowę w dół, patrzę pod nogi, skupiam się tylko na kolejnym kroku i liczę do 50. Po odliczeniu przystaje na chwile ale Dziku jest krok za mną i każde 5 sekund dłuższego postoju powoduje, że to delikatnie mnie klepie po ramieniu to chrząka znacząco. Z boku musiało to wyglądać jak kat prowadzący skazańca na szafot. Patrzę co jakiś czas przed siebie i widzę że jest! Jest szczyt! dostaję kopa energii bo przecież to już tu, już za chwile. Żeby ze wściekłością zobaczyć ze to taki przedwierzchołek i teraz trzeba zejść w dół, żeby znowu się wdrapywać.

Szczyt i zejście

31 lipca 2019 roku około 9 rano zdobywamy Mont Blanc. Na szczycie kupa radości, piękny widok, mroźny wiatr ale bardzo dobra widoczność, udało nam się wejść w jednym czasie więc uściski, gratulacje i wspólne fotki i startujemy w drogę powrotną. Mijamy dzikie tłumy, przewodników targających na linie klientów za nimi, duże i mniejsze grupy, w kilku miejscach musimy czekać bo jest ruch wahadłowy. To mnie trochę zaskoczyło, nie zdawałem sobie sprawy jak bardzo popularny jest pomysł żeby zdobyć „Dach Europy".
Powtórny horror z ostrą granią, tylko tym razem jest jasno i widać to co w nocy czuliśmy – otchłań z lewej i prawej strony. Bez sensu! W filmach bohaterowie zdobywają górę krzyczą, cieszą się i są napisy końcowe a tu cholera jeszcze kupa męki przed nami. Bez przygód, ale wciąż z maksymalnym skupieniem docieramy do namiotów. Są wczesne godziny popołudniowe, znowu coś mnie ciągnie z dala od tej góry, chce już być na dole, bezpieczny, z daleka od szczelin, grani, lodu i przepaści. Namawiam resztę żebyśmy startowali, uczucia są mieszane, ale jak to w demokracji większość zmusza mniejszość i startujemy. Aga nie czuje się najlepiej, chce zejść niżej, ale rozbić namiot gdzieś na Miage i zostać na noc. Dziku martwi się pogodą, ja chce być już w bezpiecznym namiocie, ale daleko od tego lodowca. Człapiemy powoli rozciągamy się w szyku, ja zostaje z Agą z tyłu żeby tym razem być przydatnym jako podtrzymywacz na duchu.
Ciemną nocą docieramy na pole namiotowe, dogadujemy się z właścicielami żeby nie rozbijać namiotów tylko przespać się na podłodze w jadalni. Praktycznie w momencie naszego wejścia na jadalnie zaczyna się ostra ulewa i pada całą noc, ale my jesteśmy pod dachem, jest ciepło, jesteśmy najedzeni.

Po co?

Po ponad 4 latach, gdy pisze tę relację, zastanawiam się po co mi to było? Sprawdzić siebie? Pokonać ograniczenia? Zrobić coś z czego będę dumny? Nic z tego nie było głównym motywem tego

wyjazdu, chcieliśmy razem przeżyć przygodę i razem pokonać górę. Ten cel osiągnięty został całkowicie.
Uwielbiam góry, pokonywanie ich i siebie ale nie znam kogoś kto tak kocha góry jak Dziku i Aga, potrafią jechać 15 godzin samochodem w nocy z czwartku na piątek, żeby zdobyć kolejny szczyt i jeszcze w niedziele na kolację wrócić do domu.
Bardzo chciałem zobaczyć góry ich oczami, zrozumieć dlaczego tak bardzo ich ciągnie tam gdzie zimno, głodno i niewygodnie. Uzależniające jest poczucie przestrzeni, odległości nie tylko do kolejnego etapu wspinaczki ale również od problemów, które wydają się być absolutne i ostateczne a z wysokości stają się szumem. Pracując przez 16 lat w firmie, która jak każda w jej rozmiarze stara się wdrukować w głowę to, że czerwone wskaźniki w arkuszu Excela czy raport w postaci 10 slajdów prezentacji jest największym problemem świata, który zatrzyma się jeśli ten pierwszy nie będzie zielony a prezentacja nie będzie miała animacji.
Zdecydowanie wrócę w Alpy, nie dla zaliczania szczytów na liście, ale dla powtórki przeżycia tego poczucia braterstwa i jednego prostego wspólnego celu przed nami. Zostało mi w głowie wciąż tyle obrazków z tej wyprawy, ale jeden z najsilniejszych to skoki przez szczelinę. Grzesiek przede mną pokonuje tę przeszkodę, wybiera luz liny przybiera postawę mocniej wbijając się w śnieg rakami i daje lekkim skinieniem głowy sygnał. Ten gest mówi wszystko – jestem gotowy, możesz mi zaufać, jeśli będzie trzeba złapie Cię, albo pójdę za Tobą.
Takich ludzi na końcu liny potrzebujemy w naszym życiu, którzy bez słowa przejmą nasz ciężar gdy uklękniemy pod jego wagą, albo będą tuż za Tobą, żeby dać Ci impuls do parcia naprzód.

tekst: M.Mazur

Góry Europy – Reńskie Góry Łupkowe

powyższa mapa pochodzi ze strony http://ontheworldmap.com/world/world-physical-map.html

Reńskie Góry Łupkowe

niem. Rheinisches Schiefergebirge

najwyższy punkt: **Großer Feldberg (879 m n.p.m.)**; współrzędne: **50°14′N 8°28′E**
drugi pod względem wysokości: **Langenberg (843 m n.p.m.)**

powierzchnia masywu: **5300 km2**; obejmuje państwa:



Z jakiegoś opisu lecz nie pamiętam z jakiej strony

zapamiętałem, że góry te kształtem przypominają motyla. Patrząc na nałożony ich kształt na mapie przyznaję, że to trafne porównanie.

Reńskie Góry Łupkowe dzielą się na następujące grupy górskie i ich najwyższe szczyty:
– Ardeny – Signal de Botrange – 694 m
– Eifel – Hohe Acht – 747 m
– Hunsrück – Erbeskopf – 816 m
– Süderbergland – Langenberg – 843 m
– Westerwald – Fuchskaute – 657 m
– Taunus – Großer Feldberg – 879 m

Dodatkowo, to właśnie w tym masywie znajdują się aż 3 góry z Korony Europy. Są to:
– Holandia – Vaalserberg – 322 m
– Belgia – Signal de Botrange – 694 m
– Luksemburg – Kneiff – 560 m

Góry Europy – Kopaonik

powyższa mapa pochodzi ze strony http://ontheworldmap.com/world/world-physical-map.html

Kopaonik

ser. Копаоник

najwyższy punkt: **Pančićev vrh (2017 m n.p.m.)**; współrzędne: **43°15′N 20°46′E**
drugi pod względem wysokości: **Suvo Rudište (1969 m n.p.m.)**
powierzchnia masywu: **3000km2**; obejmuje państwa:



Kopaonik opisywane jest jako największe pasmo górskie Serbii. Jego długość to około 80km a szerokość 40km. Oczywiście są to wymiary całego pasma, którego część znajduje się na terytorium proklamującego niepodległość Kosowa.
Obszar na północ od najwyższego punktu masywu – jest to 121km2 – znajduje się w granicach Parku Narodowego Kopaonik (od 1981 roku). Wg kopaonik.rs obszar parku licznie zamieszkują unikalne gatunki. Ze świata zwierząt wymieniane są m.in.: orzeł przedni, sokół wędrowny, puszczyk zwyczajny, żbik, daniel.

Na drugim biegunie znajdują się atrakcje mniej sprzyjające obcowaniu z przyrodą, jak np. 24 wyciągi narciarskie. Sam najwyższy szczyt pasma Kopaonik ze swoją infrastrukturą nie wygląda zachęcająco. Nie mniej jednak wierzę, że wędrówka górskimi szlakami z dala od zgiełku może być źródłem wspaniałych doznań. Samo zdobycie najwyższego punktu może być nieco mniej znaczącym wtrąceniem do programu.

Ciekawostką jest, że Kopaonik jest regionem aktywnym sejsmicznie. Badania w tym obszarze rozpoczęły się intensywnie po trzęsieniu ziemi (M=6,0) w 1980 roku. Jednak częstotliwość ich występowania nie jest na tyle duża, by można było zaplanować wakacje pod tego typu atrakcje.

Góry Europy – Masyw Centralny

powyższa mapa pobrana ze strony http://ontheworldmap.com/world/world-physical-map.html

Masyw Centralny

fr. Massif central

najwyższy punkt: **Puy de Sancy (1886 m n.p.m.)**; współrzędne: **45°32′N 2°48′E**
drugi pod względem wysokości: **Plomb du Cantal (1855 m n.p.m.)**

powierzchnia masywu: **85000 km2**; obejmuje państwa:



Wejście na Puy de Sancy – najwyższy szczyt Masywu Centralnego – zajmuje zaledwie 1,5h bez względu, którą z 2 tras wybierzemy. Trasy na mapce powyżej oznaczyłem czerwonymi i białymi kropkami. Jest to spojrzenie od strony parkingu w kierunku szczytu, czyli po prawej mamy zachód a po lewej wschód.

Trasa „czerwona” (zachodnia):
Od parkingu idziemy w dolinę Val de Courre. Trasa prowadzi ścieżką wśród pasących się rudych krów (przynajmniej latem). Po wejściu na przełęcz Col de la Courre skręcamy w kierunku wschodnim przechodząc wpierw koło szczytu Puy Redon a następnie dochodzimy do schodów. Tu w sezonie możemy się spodziewać dużej ilości ludzi, w tym tych, którzy wjechali z dołu kolejką i do pokonania został im ostatni odcinek ze schodami.

Trasa „biała” (wschodnia):
Prowadzi stokami narciarskimi przez to sam szlak mniej malowniczy, ale dzięki temu możemy uniknąć schodów i tłumów ludzi. Zaletą tej trasy jest również to, że jest przygotowana zimą dla narciarzy, więc jest dobrą opcją na zimowe wejście. Przy Pan de la Grange od szlaku można odbić w lewo, by zdobyć szczyt Puy de Cacadogne (1785 m).

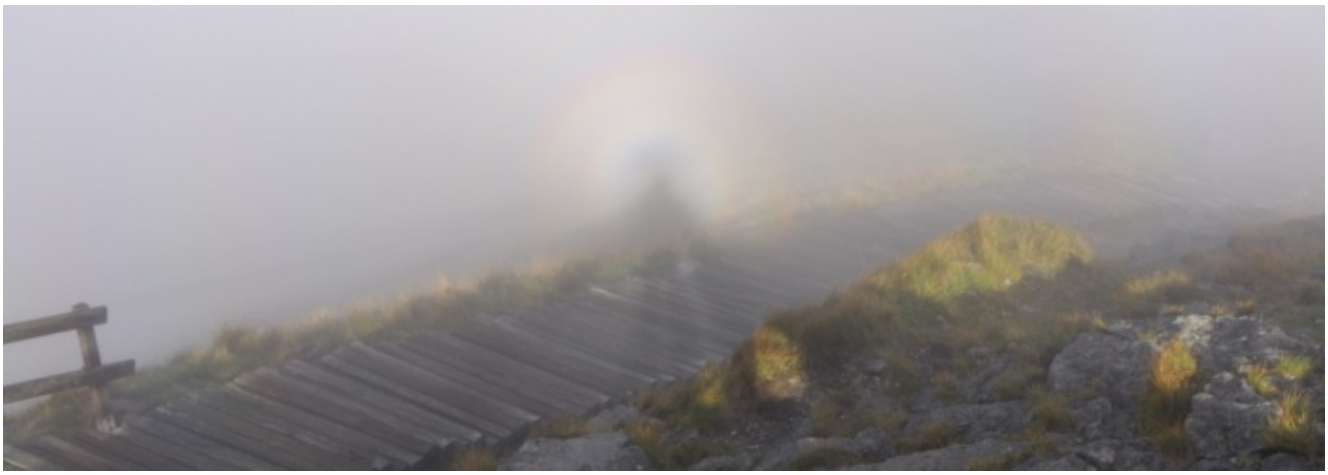
Kolejka:
Pod sam szczyt można wjechać również kolejką. Wtedy do pokonania zostaje nam 20 minutowy odcinek wspomnianych schodów.

Wszystkie opisane trasy i widok na mapce jest od strony miasta Mont-Dore.

Oczywiście nie są to jedyne opcje, by poznać okolicę i zdobyć najwyższy szczyt. Inne warianty to trasy dłuższe, kilkugodzinne lub parodniowe, które bez problemu można ułożyć korzystając z zakupionej na miejscu mapy.



Wrzesień 2011 – na szczycie w chmurach. Bez widoków ale za to z winem.



Schody na szczyt i widmo Brockenu



Widoki przy zejściu



Ruda krowa

Góry Europy – Chibiny

powyższa mapa pobrana ze strony http://ontheworldmap.com/world/world-physical-map.html

Chibiny

ros. Хибины

najwyższy punkt: **Yudychvumchorr (1201 m n.p.m.)**; współrzędne: **67°44’N, 33°28’E**
drugi pod względem wysokości: **Chasnachorr (1191 m n.p.m.)**

powierzchnia masywu: **1300 km2**; obejmuje państwa:



Chibiny to masyw górski położony w obwodzie murmańskim na Półwyspie Kolskim w Rosji. Góry te są jednymi z 2 grup w tym rejonie. Między nimi znajduje się jezioro Umboziero. Położone są na szerokości geograficznej pomiędzy 67,5° a 67,9°, czyli ok. 100km za kołem polarnym. Dokładnie na tej samej szerokości geograficznej znajduje się Kebnekaise, czyli najwyższy szczyt Szwecji. Tym samym tu również występuje noc polarna – od 10 grudnia do 3 stycznia, oraz dzień polarny – od 12 maja do 19 lipca, ale nawet dzień polarny nie zapewnia wysokich temperatur. Tym bardziej, że w górach pogoda może być zupełnie odmienna niż w mieście położonym na wysokości 192 m n.p.m., czyli w Apatytach. Już sam Kirovsk położony jest na wysokości 387 m n.p.m., co wg opisu ze strony hibiny-land.ru odpowiada temu samemu, jakby te miasta oddalone były od siebie o 200km na północ.

Temperatury, jakich możemy się tam spodziewać to tylko część przyjemności, jakie nas tam spotkają. Często spotykane są również burze śnieżne oraz lawiny a wiatr na otwartych przestrzeniach potrafi osiągnąć 180km/h. W styczniu 2017 minimalna odnotowana temperatura w Apatytach wynosiła -37,5°C. Najwyższa zaś to zaledwie 1,6°C. W lipcu natomiast najwyższa temperatura w 2017 to aż 26,6°C. Jednak w tym samym miesiącu odnotowano również minimalną temperaturę -3,6°C. Opady wynosiły 0,5mm w styczniu i 77,2mm w lipcu.

Kolejny raz zacytuję tekst ze strony hibiny-land.ru: „Wycieczki piesze w zimie są niepożądane i niebezpieczne”, czym myślę do reszty zachęciłem, by udać się w te góry właśnie zimą. Trawers masywu można by połączyć z przekroczeniem zamarzniętego jeziora i wejściem w sąsiadującą grupę górską Łowoziorskije Tundry.
Od sierpnia do połowy kwietnia można zaobserwować zorzę polarną. Mapy są do pobrania ze wspomnianej już wcześniej strony. Loty do Murmańska możliwe są z lotniska w Moskwie oraz w Petersburgu.

Góry Europy

powyższa mapa pobrana ze strony http://ontheworldmap.com/world/world-physical-map.html

O nowej liście

W menu od wczoraj jest nowa zakładka: „Góry Europy”. Nowa lub nie, bo tekst i szkic strony przygotowałem kilka lat temu, a teraz nadszedł czas na powrót do tematu. Tym bardziej, że ze z Koroną Europy jest już z górki (o ile można tak powiedzieć w kontekście gór).

Lista gór Europy będzie żyć, zmieniać się. Temat nie jest znacznie bardziej płynny niż w przypadku najwyższych szczytów państw. W tym momencie kiedy to piszę na liście jest 58 gór. To aż nadto by wypełnić wolny czas na planowanie i podróże. Wiele pozycji już teraz mnie ekscytuje, no bo kto wybiera się na wakacje w polarne Chibiny czy stepowe Sierra Morena?

Ta lista bardzo się przyda, tym bardziej, że pojawia się coraz więcej wymówek by osiąść na pupie i zgnuśnieć. A jak mówił Stasiuk o obsesji nieśmiertelności i facetach przeglądających

szmaty w centrach handlowych: „Facet powinien się niszczyć, powinien się zużywać…”

¡Bendito GPS! czyli historia sprzed lat

Z myślą o Górach Europy

Już w 2011-tym roku miałem pierwszą wersję listy pasm górskich Europy oraz ich najwyższych szczytów. Dlatego po zdobyciu najwyższej góry Hiszpanii oraz Portugalii postanowiliśmy z Anetą zahaczyć jeszcze o góry Sierra Morena. Po dojechaniu do miasteczka (przypuszczam, że było to Fuencaliente) próbowaliśmy zakupić mapę lub uzyskać wskazówki od miejscowych. Nie dowiedzieliśmy się niestety zupełnie niczego, więc korzystając z tego, co znalazłem w Internecie przed wyjazdem wyruszyliśmy w dzikie ostępy. Naszym celem była Bañuela – najwyższy szczyt pasma Sierra Morena. Czy dziś jestem w stanie odtworzyć szczegóły tamtych wydarzeń? Na pewno nie obędzie się bez pewnego przerysowania. W końcu aż do wczoraj nie byłem nawet pewien, gdzie weszliśmy i co widzieliśmy. Po ponad 6-ciu latach trafiłem na trop, który wiele wyjaśnił.
Dziś wiem już na pewno, że Bañuela nie została przez nas zdobyta. Czy jednak nie warto było podjąć wysiłku i ryzyka?



Na grzbiecie Sierra de Quintana

Jeśli chodzi o samochód (Opel Meriva) to okazał się wprost doskonały na tego typu wyjazd. Żebyście mieli w głowie choć zarys zrealizowanej trasy to dodam, że wyruszyliśmy we dwoje z Wrocławia i szybko znaleźliśmy się w Masywie Centralnym we Francji a na drugi dzień nad oceanem w Biarritz. Wkrótce potem mieliśmy za sobą przejechaną Portugalię i ani się nie obejrzeliśmy jak znaleźliśmy się na Gibraltarze. Nie sposób wymienić wszystkich odwiedzonych miejsc. Podejście było mniej więcej takie: „to tylko 100km od trasy, szkoda by było nie zboczyć, a z tego miejsca już tylko 90km do tego i tamtego miejsca to już też warto podjechać…”.
I tak dobrze, że oparliśmy się chęci poszukania promu i pojechania do Afryki. Musieliśmy się „pocieszyć” podjechaniem pod najwyższy szczyt Gór Betyckich i wejścia na 3348 m n.p.m., by stamtąd spojrzeć na afrykański brzeg. Tysiące kilometrów przybywały na liczniku, a ja prowadząc czułem coraz mniej zmęczenia. Kiedy dotarliśmy na granicę Kastylii i Andaluzji już nic nie mogło Opelka zatrzymać. Skręciliśmy w góry,

wjechaliśmy ubitą drogą w las i stanęliśmy dopiero przed zamkniętą bramą.



Nie znając hiszpańskiego decydujemy się zignorować tablice i zaryzykować: własnymi siłami otwieramy bramę i jedziemy dalej. Po pewnym czasie widzimy tabliczkę na poboczu. Wskazuje w kierunku gór i wygląda bardziej przyjaźnie niż te poprzednie, więc parkujemy tu auto i dalej idziemy na nogach. Wpierw przez las, potem zaś po gruzowisku. Czuje się każdym zmysłem, że dookoła aż kipi życie. Zwierzyny musi tu być mnóstwo. Spod nóg ucieka warchlak, płoszy się jeleń, a nad nami krążą sępy. Teren jest dziki, żadnych ścieżek, idziemy kierując się jedną zasadą – byle pod górę. Dochodzimy do skalnego uskoku, pokonujemy go zakosami, czasem trzeba użyć rąk. Dochodzimy na płaskowyż pod szczytem i znów teren jest ogrodzony. Przeskakujemy płot dzięki piętrzącym się obok skał. Teraz jesteśmy jak na innej planecie. Nieznane rośliny i teren kompletnie nieprzetarty. Trzeba uważać na węże, bo to dla nich idealne warunki a my na pomoc nie mamy co liczyć – nikt nas tu nie zlokalizuje i nie znajdzie. Przypominam, że wtedy ciągle

wydawało nam się, że wchodzimy na Bañuelę. Jednak szczyt ten, choć widoczny z tego miejsca, znajduje się po drugiej stronie doliny – w grzbiecie Sierra de Navalmanzano. My tymczasem wchodzimy na najwyższy punkt grzbietu Sierra de Quintana.



Na płaskowyżu



Przez krzeczory



Po skałach na wierzchołek

Przedzierając się przez dziką roślinność dochodzimy do skalnej wyspy – bez wątpienia najwyższego punktu w okolicy. Wspinając się po skałach wchodzimy na szczyt. Tu sterczy betonowy słupek opatrzony napisem. To właśnie dzięki temu słupkowi po latach sprawa się wyjaśniła: przeglądając w ostatnich dniach zdjęcia z tego wypadu tknęło mnie, że punkt ten musi być jakoś w Internecie udokumentowany. Odnalazłem listę (tysiące pozycji) takich punktów oraz ich współrzędne geograficzne. Z grubsza namierzyłem też współrzędne miejsca, w którym się wtedy znaleźliśmy. Po kilkunastu strzałach otwieram załączony pdf i… JEST! Ujęcie nie pozostawia wątpliwości. To ten właśnie szczyt, na który weszliśmy w 2011 roku z Anetą:

Burcio del Pino – 1290 m n.p.m.





Niestety nie natknęliśmy się na widniejące na pobliskich skałach prehistoryczne malowidła a dopełniłoby to klimatu. Podobną jednak atrakcję zwiedziliśmy w okolicy dzień wcześniej, w nieco bardziej cywilizowanym miejscu w okolicy Fuencaliente.



Dzisiejsze „węszenie” po blogach i stronach www nie tylko pozwoliło na odtworzenie z grubsza tamtych wydarzeń, ale również na lepsze przygotowanie się do powtórnego wejścia na najwyższy szczyt hiszpańskiego masywu Sierra Morena. Kiedyś pewnie to nastąpi. A co piszą ci, którzy odnaleźli kiedyś właściwy wierzchołek?

„Parece facilito pero ¿donde están los senderos? ¡Bendito GPS!”



Widok na Bañuelę

Dziku – listopad 2017

Góry Europy (Wstęp 2017)

źródło mapy: http://ontheworldmap.com/world/world-physical-map.html

Tabela w obecnej formie oraz powrót do tematu nastąpił dopiero po 6 latach. W międzyczasie listy zostały nieco odstawione. W 2012 kupiliśmy się na 5-tysięczniku w Gruzji, zaś w 2013 wspaniała wyprawa na 7-tysięcznik w Azji. Poza zajawką z Pamiru do dziś brak relacji z obydwóch wypraw i jest to dla mnie zjawisko niezrozumiałe. W 2014 skupiliśmy się na wyjeździe do Islandii a w 2015 na kilku wyjazdach w Alpy, na których po raz kolejny weszliśmy włoską drogą na Mont Blanc.

2016 rok to wyprawa na 9-tysięcznik (czyli narodziny syna), zaś w 2017 – będąc jeszcze zaaklimatyzowanymi po Michałku – weszliśmy na 10-tysięcznik, czyli… urodziła się nam córeczka. Skąd zatem pomysł by powrócić do Gór Europy? Otóż wiele z nich ma poniżej 2 tysięcy metrów i przynajmniej niektóre są względnie dostępne więc… czemu by ich nie zdobywać z dziećmi? Co z tego planu wyjdzie – życie zweryfikuje. Ważne by spróbować.

Dziku'2017

Pireneje

Pasmo: Pireneje
Państwa: Hiszpania, Andora, Francja
Najwyższy szczyt: Pico de Aneto
Wysokość: 3404 m. n.p.m.
Miejscowość: Benasque
Szacowany czas: 1 – 2 dni



Pico de Aneto znajduje się w masywie Maladeta. Dojazd do Pllan de Senarta za miejscowością Benasque. Jest tam parking i pole namiotowe. Droga na szczyt prowadzi stamtąd koło kamiennego schronu Cabana del Quillon oraz większego – wyposażonego w kominek i piętrowe łóżka, ale również bezobsługowego – Refugio de Corones. Do tego miejsca prowadzi szutrowa droga i można tu dojechać autobusem! Od Corones leśną drogą w górę. Powyżej linii lasu, nad jednym z kilku jezior, kolejny kamienny schron, niezaznaczony na mapie. Jest to kolejne schronienie, ale nie ma tam podłogi i łóżek więc planując nocleg konieczne karimaty i śpiwory. Na szlaku sporo kamiennych kopczyków ułatwiających orientację. Po przejściu osuwających się piargów czeka nas stroma ale krótka i nietrudna wspinaczka na grzbiet. Tu stajemy na najprawdziwszym lodowcu. Można nim wejść jak najwyżej (szczelin brak, ale konieczne raki bo ślisko) by potem skałami dostać się na szczyt. A jeśli ktoś nie ma raków to można ominąć jego stromy odcinek wchodząc od razu na skalną grań. Na grani również są kopczyki. Tuż przed szczytem jest teoretycznie najbardziej niebezpieczny – wyeksponowany fragment grani zwany Paso de Mahoma. Byłem świadkiem jak to miejsce żując gumę przebiegła mała dziewczynka. Za nią to samo zrobił jej młodszy braciszek.

Galeria





























Relacja

Cel – Pico De Aneto (3404 m n.p.m.) – zdobyty

Kiedy – wrzesień 2009

Kto – Dziku & Laura & Aneta

FALSTART

Na naszej drodze na najwyższy szczyt Pirenejów od początku napotykaliśmy przeszkody. A dokładniej to sami sobie je fundowaliśmy. Przede wszystkim wybraliśmy się tam nieodpowiednio wyposażeni, a w przewodniku było wyraźnie napisane: „wyposażenie: lina, czekan, raki” (a ja, po tym jak

kamień o centymetry minął moją głowę, to bym jeszcze do tego kask dorzucił). Nie mam w zwyczaju bagatelizować żadnej góry ale chyba nie wierzyłem, że faktycznie znajdziemy się w tamtym rejonie i zdecydujemy się próbować. Morale obniżał mi również fakt, że pojechałem tam ze świeżo złamanym nosem. Złamanym nie po raz pierwszy ale tym razem na tyle poważnie, że dostałem miażdżący zakaz: 3 tygodnie bez gór, słońca, i alkoholu. Nic tylko pojechać do Hiszpanii…

Ku mojemu zaskoczeniu okazało się, że dziewczynom bardzo zależy by zmierzyć się z najwyższym szczytem Pirenejów. Po zrealizowaniu więc kilku niegórskich punktów programu (w tym wniesienie szprota w sosie pomidorowym na mecz FC Barcelony na Nou Camp po wcześniejszym zdeponowaniu za murkiem pod stadionem słoika dżemu) dojechaliśmy do Benasque, by 6 km za miastem, już późnym popołudniem, w Pllan de Senarta (1375) zaparkować auto, spakować się i być gotowym do wymarszu. 3 minuty później siedzieliśmy już we troje z powrotem w aucie przywaleni plecakami. Jedziemy z powrotem 2 miasteczka przed Banasque – bo tam w ogródku restauracji, przy samej drodze, zostawiliśmy nasz jedyny aparat fotograficzny, ze wszystkimi zdjęciami z dotychczas odwiedzonych miejsc. Nawet niespecjalnie panikowaliśmy, w końcu to nie Polska, i nie zdziwiliśmy się jak na nasz widok barman z uśmiechem od razu pomachał naszym aparatem.

START

Jeszcze raz to samo – parking nad rzeczką – aparat do plecaka – plecaki na plecy – i idziemy do schronu Coronas (1970). Po drodze spotykamy miłą Czeszkę, która próbuje wybić nam z głów Pico De Aneto. Mówi, że bez odpowiedniego sprzętu jest to po prostu niemożliwe żeby tam wejść. Mówi też że przed zmrokiem nie dojdziemy dzisiaj do schronu bo jej zejście stamtąd szybkim tempem zabrało 2 godziny. Pomyliła się w obydwu sprawach – przy odpowiednich warunkach lodowiec można obejść skałami (którędy dokładnie to niestety dowiedzieliśmy się trochę za późno), a po drugie po dojściu do schronu mogliśmy

jeszcze długo nacieszyć się słońcem. Może zapomniała, że wschód i zachód opóźniony jest tam o prawie 2h w stosunku do naszego czasu.

W schronie jest już kilka osób. Poznajemy tam przemiłego Hiszpana, który wędrował cały dzień bez jedzenia. Kieszeń wypchaną miał orzechami laskowymi, które zbierał 3 godziny, jak sam powiedział po to, by wymieniać je z turystami na inne niezbędne rzeczy. Od nas – za dwie garści orzeszków – dostał herbatę. Niesamowicie pozytywnie nakręcony człowiek, rozmawialiśmy i śmialiśmy się do nocy.

ANETO, ANETA I MOST MAHOMETA

O ósmej startujemy na górę. Trasa bardzo ładna. Kamienne kopczyki prowadzą nas najpierw przez las, a potem kamiennymi zboczami. Mijamy kolejno jeziorka – jest ich po drodze cztery. Za ostatnim zaczynają się piargi. Czasem w tym stosie kamieni trudno wypatrzeć mały kopczyk oznaczający szlak więc poruszamy się trochę na czuja. Niestety poruszanie się po obsypujących się kamieniach doprowadza Anetę do małego kryzysu. To jej pierwszy kontakt z tego typu górą. Właściwie przez następne kilka godzin musi przesuwać swoje granice. Mimo to radzi sobie ze wspinaczką na grań, z przejściem pierwszego lodowca, a nawet z próbą ominięcia skałami drugiego lodowca. Próba dosyć karkołomna, bo jak wspomniałem wcześniej nie wiedzieliśmy, że lepiej było piąć się granią a nie męczyć się skrajem lodowca. Dochodzimy do Mostu Mahometa – wąskiego skalnego przejścia za którym w odległości 30 kroków widać krzyż – najwyższy punkt Pirenejów. Tutaj Aneta postanawia na nas zaczekać. Jest na wysokości ok. 3400 m npm – zaledwie parędziesiąt kroków od szczytu, ale dojście tu kosztowało ją zbyt wiele sił psychicznych. Po kilku fotkach na szczycie schodzimy.

TRUDNY WYBÓR

Ja i Aneta zsuwamy się ostrożnie lodowcem – na litym, stromym lodzie podziubanym zębami raków utworzyła się cieniutka

warstwa brei. Nasze buty jakoś się tego trzymają i bardzo ostrożnie dochodzimy do skał poniżej lodowca. Laura pnie się po skałach na grani, znajduje tam kopczyki i okazuje się, że to chyba była najlepsza droga dla tych, którzy nie zabrali raków. Do wieczora ciągle schodzimy. O 19-tej jesteśmy przy schronie Coronas i robimy naradę. Jest kilka opcji:

1. Ja mówię: Możemy znów przenocować w schronie i rano schodzić.
2. Aneta mówi: W schronie chrapią więc możemy powoli schodzić aż do nocy do auta i przenocować na dole.
3. Laura mówi: Możemy wysłać Dzika biegiem na dół żeby spróbował zdążyć do miasta przed zamknięciem sklepu i kupił wino.

Zwycięża opcja trzecia. Podczas gdy dziewczyny powolutku schodzą ja pokonuję 9km w 1 godzinę i 10 minut, dobiegam do auta i jadę do Benasque. W sklepie jestem na 10 minut przed zamknięciem. Kupuję 2 wina i na wszelki wypadek jeszcze sześciopak piwa. Do tego jogurty i owoce – tak tylko żeby sumienie uspokoić.

W całkowitych ciemnościach wracam na Pllan De Senarta i ruszam z powrotem na górę dziewczynom na przeciw. Spotykam je po ponad połowie godziny marszu. Są mocno zmęczone, Laura dodatkowo ma problemy ze stopami. Dla usprawiedliwienia liczymy godziny i wychodzi nam, że każdy ma prawo paść na pysk po 14-tu godzinach walki w tych pięknych, ale wcale przecież niełatwych górach.

Pico De Aneto, choć dał sporo satysfakcji nie jest jednak najwyższym szczytem Hiszpanii. Jest nim Mulhacen w pasmie Sierra Nevada na południu Hiszpanii. Tam podczas tej wycieczki nie dotrzemy ale stosunkowo niedaleko znajduje się przecież Andora. Motywacja ogromna bo Andora stanie się moim 23-cim europejskim państwem, z którego najwyższym szczytem przyjdzie mi się zmierzyć.

– END –

Góry Europy (Wstęp 2011)

źródło mapy: http://ontheworldmap.com/world/world-physical-map.html

Po zdobyciu w lipcu 2010 roku najwyższego szczytu Szwajcarii wystarczyło spojrzeć na mapę, by przekonać się, że projekt Korony Europy powoli zmierza do końca. Ostatnie niezdobyte szczyty odsunęły się ku obrzeżom mapy pozostawiając w środku jedynie twardo stawiający opór najwyższy szczyt Słowacji – Gerlach. Coraz częściej zaczęły mi przychodzić do głowy kolejne pomysły. Któregoś dnia, przeglądając mapy, zwróciłem uwagę jak wiele jest masywów górskich, o których dotychczas nie miałem pojęcia. Skupiony dotychczas na konkretnych szczytach nie zwracałem na nic więcej uwagi. A teraz przyszedł czas, kiedy zainteresowały mnie te wszystkie pasma górskie Europy. Ku mojemu zaskoczeniu okazało się, że ich najwyższe szczyty rzadko kiedy pokrywały się z najwyższymi szczytami państw. W pewnym sensie to oderwanie się od sztucznych, stworzonych przez człowieka granic jest w tym projekcie czymś, co mnie zaczęło tym bardziej pociągać.Ponieważ nie jestem w stanie zmienić przyzwyczajenia, czy wręcz nieodpartej chęci wchodzenia na te „naj”, zachętą do poznawania Gór Europy będzie zdobywanie ich najwyższych szczytów.

Pod tym linkiem przedstawiam listę pasm górskich Europy. W miarę możliwości spróbuję każdy opisać, umiejscowić na mapie, a z czasem uzupełnić o galerię zdjęć i relację z pobytu w każdym z nich.

Dziku’2011